Nr. 18. Rok II.

We Lwowie 5. Maja 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę zamiejscową przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

miejscową: Księgarnia Polska przy placu Halickim Nr. 14.

Od Administracji: Z numerem dzisiejszym rozpoczyna się prenumerata miesięczna, upraszamy zatem tych pp. prenumeratorów, którzy do 1. maja zapłacili, o łaskawe odnowienie przedpłaty, jeżeli życzą sobie następne numera otrzymywać.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 19. „Ziarna“ wyjdzie d. 12. Maja 1883.

Nr. 18. We Lwowie dnia 5. Maja 1883. Rok II

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu	rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„	kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„	miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petite m

Nasi liberalni.

Niedawno temu zdarzyło się we Lwowie, że pewien obywatel, będąc wylosowanym na sędziego przysięgłego w publicznej rozprawie karnej, wzbraniał się złożyć wymaganej przysięgi, oświadczając, że przysięga taka nie zgadzałaby się z jego przekonaniami filozoficznemi.

Fakt ten na pozór nie miał ogólniejszego znaczenia. Sąd załatwił sprawę doraźnie, karząc grzywną przysięgłego — ateusza, a dalej j-ż ani władze sądowe, ani ustawodawcze nie znalazły powodu zajmowania się tym wypadkiem, lub kwestją przysięgi w ogóle.

Mimo to nieda się zaprzeczyć, że zdarzenie o którym mówimy, zrobiło silne wrażenie. Śmiałe, mężne wystąpienie pana Cz. było czemś tak nowem, tak niebywałem u nas, że nawet tak apatyczna publika, jak nasza, ludzie, których zazwyczaj poruszyć zdoleń chyba gruby jakiś skandal, zmuszeni byli przez czas jakiś zajmować się kwestją poważną, mimowoli może poruszoną przez owego obywatela.

Że wystąpienie p. Cz. jednomyślnie potępionem zostało przez wsteczników i konserwatystów wszelkiego rodzaju, o tem chyba i mówić nie potrzebujemy: Gdyby istniała święta inkwizycja, kacerz ten byłby niezawodnie spalonym. Natomiast ciekawem jest zachowanie się t. zw. „liberałów" wobec tego faktu.

Śledziliśmy głosy czasopism mieniących się liberalnymi, lecz nie znaleśliśmy nigdzie wyraźnej aprobaty postępku p. Cz. Niektórzy z liberałów wyraźnie go potępiali, a radykalniejsi bądź wstrzymywali się od komentarzy, bądź też wdawali się w rozbiór strony p r o c e s u a l n e j wypadku, z pominięciem zasadniczej. Najlepiej zaś charakteryzuje sposób myślenia tych ludzi, elukubracja znanego kronikarza niedzielnego jednego z pism liberalnych, który *ad vocem* wypadku w sali sądowej z właściwą sobie wyższością przypomniał anegdotę o Piusie IX i protestancie który nie chciał jego błogosławieństwa i starał się naszego p. Cz. przedstawić jako f a r s e r a, stawiając go w jednym rzędzie z Karolem Bradlaugh, który (notabene według zdania kronikarza) zawsze figurować będzie tylko w kronice skandalów. Fakt, iżby się znalazł człowiek poważny, który z przekonania odmówi złożenia przysięgi kończącej się słowami: „tak mi Panie Boże dopomóż!" wcale się nie mógł pomieścić w głowie kronikarskiej.

Ab uno disce omnes! Takimi są wszyscy nasi liberalni". Przekonia wolno mieć choćby nawet, *(o horror!)* r a d y k a l n e; ale się z niemi a f i s z o w a ć, publicznie je objawiać, to nieładnie! Cóż to kogo obchodzi, że p. X. lub Y. niewierzy w Boga? Zresztą są ludzie dla których wiara jest p o t r z e b n a (liberalizm to tylko przysmaczek dla wybranych, ale nie dla byle kogo) mogliby się zepsuć! A w końcu (patrz kronika niedzielna) pod „Bogiem" każdy może sobie wyobrażać co mu się żywnie podoba i śmiało składać przysięgę. Jest więc i *reservatio mentalis*!...

— Doszliśmy do najczystszego j e z u i t y z m u: Mniejsza o grzech, byle nie było z g o r s z e n i a p u b l i c z n e g o.

Błąd logiczny w powyższem rozumowaniu jest aż nadto widocznym. Jeżeli popełniam czyn o którym wiem, że jest niemoralnym, to staję się podwójnie winnym, skoro go popełniam w sposób mogący pobudzić drugich do naśladownictwa; tak dalece więc jezuici mają słuszność. Jeśli zaś mam jakie przekonanie, które uważam za lepsze od innych, a zachowuję je dla siebie, wystrzegając się objawienia go wobec ogółu, to nietylko niemam żadnej zasługi, ale wprost s z k o d z ę ludzkości, przyczyniając się mojem milczeniem do dalszego istnienia przekonań odmiennych, a według zdania mego niedobrych, a temsamem, staję w sprzeczności z samym sobą. Niemasz na świecie przekonań przeznaczonych *„ad usum delphini"*; skoro ktoś mniema że ateizm jest m o r a l n y m, to nie może mniemać, że on jest moralnym tylko dla niego samego, a

raczej musi wierzyć, że on jest moralnym w ogóle i przeto życzyć sobie, aby jego przekonanie udzieliło się drugim. Wynika z tąd że *horror* „zgorszenia“ w dziedzinie przekonań moralno-filozoficznych nie tylko jest nie na miejscu, ale że owszem powinno się w tej mierze *sit venia verbo* wywoływać zgorszenie.

Źleby nas jednak zrozumiał, ktoby z tego, coś my dotąd powiedzieli, chciał wywnioskować, że jesteśmy zwolennikami prozelityzmu religijnego lub filozoficznego. Żądamy tylko wolności dyskutowania; żądamy, aby się opinje ścierały, aby wzajemnie na się wpływały. Przez zatajenie zaś przekonań wpływ ten staje się niemożebnym, dyskusja niema miejsca! Do tego zaś dąży rutyna liberalna.

Oportunizm, który nas opanował w polityce i w sprawach społecznych, wciska się już w dziedzinę poglądów moralnych, i dojdziemy do tego, że ustawiczne „*shoking*“ naszych powag liberalnych wstrzyma wszelki postęp, jak to się działo do niedawna w wzorowo „przyzwoitej“ Anglji. Na szczęście Anglija ma swoich Millów, Spencerów, Darwinów, my zas nawet Bradlaugh'a tęgiego doczekać się nie możemy.

Widzimy już jak nasze Pikwiki liberalne ruszają ramionami i pogardliwie się uśmiechają na nasz ferwor radykalny. Dla nich więc przepisujemy tu ustęp z autobiografji Milla, którego zpewnością nie zechcą zaliczyć do bohaterow kroniki skandalicznej, jak to uczynili z nieustraszonym p. Bradlaugh. „Zdaje mi się — mówi Mill — że nadszedł czas, w którym jest obowiązkiem wszystkich, posiadających potrzebne w tej mierze wiadomości i przekonanych po dojrzałej rozwadze, nie tylko o fałszywości, ale nadto o niebezpieczeństwie opinij panujących, dać poznać że ich nie podzielają wcale, przynajmniej jeżeli ci ludzie pozostają na takim stanowisku i o ile są poważani, że ich opinja mogłaby wzbudzić uwagę. Takie wynurzenie się odrazu położyłoby kres na zawsze rozpowszechnionemu przesądowi, który przypisuje tak zwanemu niewłaściwie niedowiarstwu, wszelkie skażenie umysłu a w dodatku i serca... Nie ma już dziś przeszkody w przyjęciu myśli, że deista może być człowiekiem prawdziwie religijnym. Wszelako, jeżeli religję mają stanowić pewne przymioty charakteru, nie zaś pewne dogmaty, można również nazwać religijnymi tych ludzi, których wiara nie pochodzi do deizmu“.

Forward.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“.

(Ciąg dalszy).

Młody hrabia Bryński chodził także do szkół w Przemyślu i jak niegdyś w Bereźnicy, był i tu prawdziwym Hilcia przyjacielem. Ani różnica społeczna, ani wpływ matki na wskróś przesiąkłej pojęciami arystokratycznemi, ani zniewieściałość wychowania początkowego, nie zdołały w nim zabić dobrej natury, którą po ojcu odziedziczył. Lolo był najlepszym kolegą, najszczerszym przyjacielem i tylko tem różnił się od innych, że nie brał nigdy udziału w awanturach studenckich. Lolo był pod czujnym dozorem guwernera, który mu bez siebie nie pozwalał nigdzie krokiem się ruszyć.

Ojciec Lola przyjechawszy syna odwidzić, posłał po młodego Bereźnickiego. Chłopiec myślał że hrabia będzie się nań gniewał, ten jednak przyjął go bardzo łaskawie, po twarzy pogłaskał, a na odchodnem dając mu pięć talarów rzekł:

— Masz to chłopcze na książki... A ucz się dobrze, abyś wyszedł na człowieka.

Hilcio uczył się, ale czy dobrze, trudno to przyznać. Ówczesny system nauczania w publicznych szkołach austrjackich, był zabijającym dla ducha młodego. Prusacy, jakkolwiek o życzliwość dla rasy słowiańskiej w ogólności, a Polaków w szczególności, trudno ich posądzić, długo pozwalali polskiej młodzieży uczyć się w jej języku ojczystym; dopiero odkąd im się zdaje, że są świata panami, zaczęli w Wielkopolsce szkoły niemczyć. Austrja inaczej postępowała. Ta oświadczywszy zaraz na wstępie, że Galicja jest prowincją niemiecką, której ludność prędzej lub później musi być niemiecką, kazała przedewszystkiem uczyć młodzież po niemiecku, i kto tym językiem biegle władał, mógł być pewnym, że przez nauczycieli będzie kochany i protegowany. Obok niemczyzny, uczono w szkołach łaciny, trochę rachunków i niewiele historji, w wyższych klasach greki, ale do czego wielką także wagę przykładano, to do wzorowego postępowania młodzieży. Dobrze zaś ten się zachowywał, kto będąc szlachcicem, dodawał do swego nazwiska zawsze *Ritter von* i na syna chłopskiego z góry spoglądał, jak nie mniej ci, którzy pana dyrektora uwiadamiali o wszystkiem, co się działo w szkole i po za szkołą. Podtrzymywaniem różnicy stanów, usiłowano przeszkodzić możliwej jedności w kraju, systemem szpiegostwa chciano młodzież zdemoralizować, aby przy jej pomocy trzymać rękę na pulsie kraju.

Trudno żądać, by taki system do nauki zachęcał Młodzież mało się też uczyła, obracając większą część czasu na awantury przeróżne. Z resztą należy i to wziąć na uwagę, że młodzież z przed roku 1848, z opowiadań ojców i dziadów, miała jeszcze żywo w pamięci, ostatnie lata upadającej rzeczypospolitej, lata hulaszcze, gwarne i awanturnicze. Dawne narowy nie mogły zniknąć od razu, a że teraz nie było już ani sejmików, ani najazdów, więc panowie studenci w inny sposób objawiali swoją krewkość.

W epoce naszego opowiadania, gimnazjum przemyskie, było bez zaprzeczenia najliczniejsze w Galicji. Nigdzie filozofowie nie nosili większych wąsów i grubszych lasek; nigdzie żydzi nie byli dla studentów z głębszym szacunkiem; nigdzie nie wypijano więcej wina i miodu, nigdzie nie mieli studenci więcej długów, i nigdzie pan *Kreishauptmann* nie był w większym strachu, jak właśnie w Przemyślu.

Rozpędzić całą dzielnicę żydów i wybić okien tysiące, jeżeli jaki żyd obraził, lub skrzywdził w czemkolwiek którego ze studentów; obić *landsdragonów*, a panu staroście wyprawić kocią muzykę, jeżeli jaki student został oddany do wojska; nareszcie połapać panów profesorów w wilcze doły i udawać, że stało się to przypadkiem, oto drobnostki, które się powtarzały codziennie prawie. Co do owych wilczych dołów, to jednej nocy studenci złapali w rzeczy samej pięciu profesorów. Zwyczajem było wówczas, że profesorowie wybierali się późną nocą na lustrację tych domów, gdzie studenci stali na stancji. Pewnego poranku, jeden z kolegów dowiedział się przypadkiem, że wieczorem tegoż dnia, profesorowie rozbiegną się po przedmieściach, lecz nie wejdą do mieszkań, jak według zwyczaju, tylko przez okna będą zaglądali, ażali studenci nie piją, lub w karty nie grają. Aby gości nieproszonych przyjąć odpowiednio, za poradą Hilcia, który był wyrocznią, wykopali studenci pod każdem oknem dół na sążeń głęboki, dzięki czemu między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczór, pod pięciu mieszkaniami, pięciu jeńców wpadło w wilcze doły. W jednem miejscu obito nawet profesora pod pozorem, że to złodziej chciał się zakraść przez okno do domu.

Na takich rozrywkach niezbyt przyzwoitych i pedagogicznych, schodził czas mło-

dzieży. Bądźmy jednak bezstronni. Nie wszyscy wiedli życie awanturnicze. Wprawdzie od wypraw ważniejszych, nikt, z właszcza ze starszych, nie mógł się uchylić, lecz za to byli tacy, którzy po bójce z żydami spieszyli do książki i bez odpoczynku uczyli się godzinami całemi, a wykierowawszy się na ludzi, dziś gdy te słowa piszemy, są wyższymi urzędnikami, głośnymi prawnikami, lub dzierżą kanonje.

Sprawiedliwość każe jednak wyznać, że pochodzą oni prawie wszyscy ze stanu włościańskiego, lub są synami księży ruskich, synowie bowiem szlachty mając w krwi próżniactwo, i myśląc że do końca świata będą rozkazywali, zamiast uczyć się pilnie, marzyli tylko o burdach.

Do tych drugich należał Hilcio Bereźnicki. Z wielką trudnością, i przy pomocy hrabiego, który go u profesorów protegował, mijał klasę po klasie, chociaż z nauk nie wiele korzystał. Za to myślał wiele o swojej powierzchowności i sile. Gdy przyszedł na pierwszy rok filozofji, jako młodzieniec dwudziestoczteroletni, miał już dobre wąsy, a lubo wzrostu nie był słusznego, na pięć mil w około uchodził za największego „siłacza“. Na wiosnę nosił laskę grubą, jak ręka, i tę nazywał „letnią“. Z pierwszym śniegiem, brał inną, niesłychanie sękatą a grubą jak noga i tę nazywał „zimową“. Gdy szedł przez miasto, z głębokiem uszanowaniem ustępowali mu się z drogi nie tylko żydzi, nawet *landsdragoni*, a ilekroć podczas wykładów chrząknął w sali, profesor literatury niemieckiej mały garbaty niemczyk, podskakiwał zawsze na krześle wykrzykując „O! Herr Gott!“ co w najwyższym stopniu rozweselało filozofów.

Studenci kochali i wielbili Hicia, pod jego bowiem przewodnictwem udawały się wszelkie wyprawy. Jak świat miał Napoleona, tak Przemyśl miał Hilarego.

Hilcio panował więc w Przemyślu, pijąc za dziesięciu, grając nalepiej w labeta, kurząc tytoń najmocniejszy i hojnie rozdając guzy nieprzyjaciołom wesołej młodzieży. Ale snać w księdze przeznaczenia nie było napisane, aby znakomity ten młodzian ukończywszy drugi rok filozofji, poszedł na teologję i został księdzem.

Oto pewnego wieczora Hilcio ulotnił się gdzieś jak kamfora.

(c. d. n.)

Dwa głosy.

Stał, jak cyklop, przedemną, bladym, wątłym, cichym..
Fabryczne piekło przy nas dzikim chórem grzmiało,
A metal, urągając ludzkim cieniom lichym,
Z czarnej gardzieli pieców buchał ławę białą.

Stał, jak cyklop, i mówił, wstrząsając prawicą:

— Oto nasze zapasy! oto dzieła nasze!
My przed ludźmi nie kwilim, jak zranione ptaszę,
Ani ich olśniewamy rymów błyskawicą;
Purpura nas nie zdobi, ni wawrzynu liście.
Na skroń wzięliśmy tylko blade perły potu,
A pieśń nasza z żelaza, płonąca ogniście,
Grzmi jak piorun skandówką fabrycznego młota.
Gdy dla was ma przyroda tylko słodkie czary,
Tylko dźwięki, płynące melodyjną strugą,
Myśmy się z nią jak chłopy ujęli za bary,
I w twarde jarzmo wprzągłszy, uczynili sługą.
Czy widzisz, jak pod młotem ta bezkształtna bryła
Miota się, skrami parska groźnie jak wąż syczy?
Weź lutnię, ze strun dobądź pieśń pełną słodyczy,
I spróbuj, czy ją zaklnie pustych dźwięków siła...
Czemże są wasze marne z widziadłami boje
Przy walkach z tą materją bezduszną a wściekłą?
Wy znacie tylko głupie nerwów niepokoje,
Nami wstrząsa, jak trzciną, całe ziemskie piekło.
Kiedy słońce przyszłości nad ziemią zaświeci,
Gdy wstaną męże biali z pośród czerni gminu,
Lud wytrąci wam berło — książkowi poeci!
I wawrzynem uwieńczy nas — poetów czynu!
Skończył, i wraz mu wszystkie przytaknęły — młoty.

A ja rzekłem:

— Nie bluźnij ni pieśniom, ni księdze:
Bo w księgach drzemią czyny, jak w chmurach grom złoty,
A z pieśni płynie balsam na światowe nędze.
W kotle życia wrą społem metalów tysiące,
Boskość topi się z grzechem, szał dziki z nadzieją.
A wieszcze nad nim chylą czoła siwiejące,
I z wrzątku ognistego chłodne strofy leją.
Cicha cela poety pustą ci się zdaje,
A jednak, w nocnym mroku i w ogniach południa,
Tłum powietrznych postaci z gwarem ją zaludnia:
Białe pułki aniołów i szatanów zgraje.
Przed wieszczem stają widma z piersią zakrwawioną
I topią w jego licu wzrok, błyszczący łzami,
Wskazują na skroń bladą i na krwawe łono,
I jęczą: „Sędziom duchów poskarż się za nami!.
Upiór przed nim potrząsa ramieniem bez ciała
I błaga, jakby groził: „Pomsty na mordercę!...“
A biały trup dzieweczki, co nazbyt kochała,
W milczeniu na rozdarte pokazuje serce.,
Rój dziecięcych duszyczek, niby ptaków stado,
Żałośliwem kwileniem napełnia komnatę,
I suną zwolna starce z twarzą trupio-bladą,
Na ostatnich swych złudzeń skarżąc mu się stratę.
Wieszcz rozmyśla — a przed nim ciągnie orszak chmurny,
Jak armja, co przegrała ciężką życia bitwę,
I w otchłań jego serca rzuca, jak do urny,
Ból swój i złorzeczenia, klątwy i modlitwę.
Ty szydzisz z walk duchowych? a cóż świat porusza,
Jeśli nie wola tłumów, zlana w wieszcza wolę!
Ty dzielisz pieśń od czynu? — wspomnij Tyrteusza
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Pieśń tworzy bohaterów i unieśmiertelnia...
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha
Gdy jej dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju, jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.
Wskazujesz mi swych braci czoła uznojone?
Mówisz, że wrzący metal ciemnem piętnem plami?
Spojrzyj: na skronie wieszczów świat włożył koronę,
Lecz zpod niej krew żywemi spływa rubinami!
Kiedy wschodzi nad ziemią wieszczych natchnień tęcza,
Ten, który ją rozpalił, w zapomnieniu ginie —
Bo ludzkość swe proroki od wieków umęcza,
I laurom róść pozwala na grobach jedynie.
A czy wiesz, jak się umysł mroczy chmurą czarną,
I jaka chęć porywa bluźnić dzikim głosem,
Gdy człowiek w bratnie serca rzucił ducha ziarno,
I umiera, nie widząc, by strzeliło kłosem?...
Z jednej stali i pióro i młot wykowano.
A czy z młotem, czy z lutnią noc życia kto prześni
Z cnót jedynie zdziałanych osądzą go rano—
Więc księgom nie urągaj! nie urągaj pieśni!
Poezja — jak Bóg jedna jest i jednakowa.
W niej wszystkich dzieł potężnych kiełkują przyczyny,
I próżnobyś przepaścią dzielił czyn od słowa,
Bo w czynach tkwi poezja, a w poezji czyny!

Wiktor Gomulicki.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Dokończenie.)

W tym poemacie zawarty jest cały Flaubert z tą ciężką krwią, ponurą fantazją, przykro naciskającą się uczonością, z dążeniem do zniewolenia starych i nowych illuzji, starych i nowych wiar i przesądów. Prawie brutalna gwałtowność jego usposobienia występuje na jaw, gdzie boga Crepitus usuwa przed Jehową. Że wybrał legendę o św. Antonim do tego, iżby ulżyć swemu sercu i wypowiedzieć gorzką prawdę ludzkości, pochodziło stąd, iż w tej osnowie znalazł ulubione: wschód i starożytność. Mógł użyć tu wielkich miast i krajobrazów Egiptu za tło, rozrzucać błyszczące farby i gigantyczne formy. A tu nie malował już bezwładności i głupoty jednej społeczności — ale świata, tu pohasał — całkiem nieosobiście — jak ludzkość w każdej godzinie życia brnęła po kostki w błocie i krwi, i wskazał na umiejętność, której się boją jak djabła, — jako za jedyny ratunek.

Idea była wielką i nową; — ale niestety wykonanie wcale nie dosyć na wysokości planu. Książka jest zużytym do niej materja-

łem przygnieciona do ziemi. To nie jest dzieło poetyzmu, ale na pół teogonija, na pół historja kościoła a wszystko to jest podane w formie psychologji szaleństwa. Znajdują się tam wyliczenia szczegółów, nużące, jak wstępowanie na prostopadłą ścianę góry, niektóre partje są całkowicie zrozumiałe tylko dla uczonych, a nie do czytania dla zwyczajnej publiczności. Wielki pisarz zwolna rozstopił się w oderwanej surowości i oderwanym stylu. Trafnie rzekł o nim Emil Zola: „Smutny to był widok patrzeć, jak ten, tak potężny talent kamieniał, jak postacie starożytnej mitologji. Zwolna od stóp do pasa, od pasa do głowy, stawał się Flaubert marmurowym posągiem“.

VII

Odłożyłem opowiedzenie ostatniej wizji Antoniego, ponieważ wydaje mi się ze wszystkich najgodniejszą uwagi, i była z pewnością własną hallucynacją poety. Kiedy wszyscy bogowie zniknęli, i zakończyła się podróż po przestrzeni niebios, obaczył Antoni na przeciwnym brzegu Nilu Sfinksa wyciągającego pazury i kładącego się na brzuchu. Ale skacząc, lecąc, wyjąc, zionąc ogniem z nozdrzy, okrąża go chimera. Czem jest sfinx? Czemże innem jak ciemną zagadką, przygwożdżoną do ziemi — wieczne pytanie, szperująca nauka! Czemże jest chimera? — niczem innem, jak oskrzydloną fantazją, która przelatuje przestrzeń, i gwiazdy dotyka końcami swych skrzydeł!

Sfinks mówi: „Stań spokojnie Chimero. Nie biegaj tak prędko, nie lataj tak wysoko, nie hucz tak mocno. Przestań dąć mi płomieniem w twarz, ty przecież nie stopisz mego granitu.

Chimera odpowiada: „Nigdy nie stoję spokojnie. Ty schwycić mnie nie możesz, ty straszny Sfinksie!“

Chimera galopuje przez korytarze labiryntu, leci przez morze, wgryza się w żeglujące chmury.

Sfinks leży nieporuszony i rysuje szponami w piasku głoski, myśli i rachuje, a kiedy morze wzbiera, faluje zboże, kiedy się przesuwają karawany, kiedy się miasta zapadają, on wzrok utkwił w dali, w horyzoncie. I woła: O fantazjo! wydobądź mnie ze śmiertelnej nudy na swoich skrzydłach!“

A Chimera odpowiada: „Ty nieznajomy! jestem zakochana w twoich oczach, jak rozogniona hyjena krążę około ciebie, o uściskaj mnie, zapłodnij mnie!

Sfinks się podnosi. Ale Chimera ucieka obawiając się, aby jej kamienny ogrom ciężaru nie zdruzgotał. „Niepodobna!“ wyjęczał sfinks i zapada w głęboki piasek.

Widzę w tej scenie ostatnie wyznanie Flaubert'a przytłumioną skargę na ułomność dzieł całego życia — a tego dzieła — dzieła głównego — w szczególności, Sfinks i Chimera, nauka i poezja pożądały się u niego, odszukiwały się ciągle nawzajem, krążyły z palącą żądzą i ogniem naokoło siebie; ale dobre zapłodnienie poezji przez naukę nie udało mu się.

Nie dla tego, jakoby zasada była niesluszną lub niezdrową. Przyszłość poezji jest tutaj, w to wierzę bez wątpliwości; bo tutaj jest jej przyszłość. Najwięksi poeci tacy jak Eschilos, Dante, Goethe, umieli wszystko istotne, co było za ich czasów wiadomem, i złożyli swoją wiedzę w poezji. Wprawdzie surowość i naukowe wyształcenie same przez się nie mają poetycznej wartości. Nie potrafią nigdy i nigdzie z a s t ą p i ć poetyckiego uczucia artystycznej konstrukcji. Ale gdzie się znajdzie poetycka zdolność, tam się zaostrza wzrok przez wglądnięcie w prawa przyrody i duszy ludzkiej, i przez studjum historji. Ale bez wątpienia jest to w naszem stuleciu, kiedy wiedza została na nowo stworzona we wszystkich kierunkach, trudniej, aniżeli kiedy indziej objąć materjał naukowy, a Flaubert nie posiadał pierwotnej harmonji ducha, która trudność czyni lekką i godzi głębokie sprzeczności świata a ideji.

„La tentation de Sainte-Antonine“ została odprawioną w Paryżu bulwarowym dowcipem. Tylko nie wielu miało cierpliwość zagłębić się w książkę, a wielka publiczność prędko się ułatwiła ze sądem: książka była śmiertelnie nudną. Jak mógł myśleć autor, że coś podobnego zabawi Paryżan! Nie, „Madame Bovary“, to co innego! Dla czegoż się on nie powtórzył (jak wszyscy pisarze tuzinkowi), dlaczego nie napisał dziesięciu nowych“, „Pań Bovarych?“ A on usunął się do Croisset, zamykał się dotknięty do żywego na długie miesiące i zwolna zaczął na nowo pracować. Postarzał się. Przez śmierć starszych przyjaciół, George Sand, Teofila Gautier a dalej Ludwika Bouilhet, Feydean, Juljusza Goncourt utracił druhów młodości i jednomyślących. Został osamotniony. Stał się chorowitym, nie mógł znieść chodzenia, nawet przykro mu było patrzeć, jak inni chodzą. Zubożał. Stracił majątek, w dobroci powierzony siostrzenicy — mąż jej przegrał go, i w późniejszych latach życia dręczył się troską o wyżywienie. W końcu rzadko Paryż odwiedzał; nawet już do ogrodu nie wychodził, przechadzał się tylko pomiędzy sypialnią a pracownią i spożywał samotnie objady.

Umarł w maju roku 1880 — i został pogrzebany w Rouen. Konwój był mały, składał się z niewielu przyjaciół z Paryża. Z Rouen nie był nikt w pogrzebowym orszaku bo większości mieszkańców był zupełnie nieznajomy, a mniejszość, znająca go nienawidziła, jako niemoralnego i niereligijnego pisarza.

1881

Jerzy Brandes.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

(Dokończenie.)

Od tego czasu choroba jego przeszła w właściwą fazę: raz ciężka odrętwiałość — to znów zupełna bezsenność — męczyły go naprzemian. W rzadkich chwilach, gdy mu cierpienia mniej dokuczały, i gdy mu powracała chęć zamglona przytomność, zdawało mu się ciągle, że słyszy szelest jakiejś jedwabnej sukni, która mu robiła wrażenie materyi merynosowej szczawiowo-zielonej. Otwierał wtedy oczy i spostrzegał przed sobą ciągle czuwającą P. Muche, która już nie opuszczała prawie jego pokoju. To przygotowywała mu jaki napój chłodzący, to znów wietrzyła pokój, nie oziębiając go zbytecznie lub zmieniała mu poszewkę, badając co chwila czy jej wielkie dziecko nie potrzebuje czego.

Często żądał napoju. Pragnienie dokuczało mu najbardziej. Raz gdy mu podawała szklankę, odezwał się ze wzruszeniem:

— Jak mnie Pani psuje swoją dobrocią!

— A — Panie Bajolein — nie ma o czem mówić.

— Tak jest — Pani mię psujesz. Pani jesteś dla mnie Opatrznością.

— Niech Pan nie mówi — to Panu może szkodzić.

— Złote serce bije pod tą sukienką; — jak to właściwie nazywa się?

— Co?

— Ta materja, którą pani masz na sobie.

— To jest cycowa; suknia — dla czego Pan się pyta?

— Cycowa, tylko cycowa — mówi jak do siebie. — Ona jest wcieloną Opatrznością, a merynosy są dla niej za drogie!...

Znowu upłynęło kilka dni.

Chory zapadał coraz gorzej, a lekarz nie wiele już dawał nadziei szczęśliwego

wyleczenia. Zrozpaczona P. Muche nie jadła, nie spała, zapomniała o całym świecie, siedząc bezustannie nad łóżkiem i odgadując myśli pacyenta. Kilkakrotnie odwiedzali chorego koledzy z księgarni, zawsze prawie zastając go w strasznej gorączce. Raz nawet sam pryncypał wygramolił się na piąte piętro, dowiadując o stan chorego.

— Ciagle nieprzytomny, rzekła gospodyni.

P. Brochat, bardziej wzruszony niżby chciał okazać, przystąpił zwolna do łóżka.

— Nie zbliżaj się pan, możesz się zarazić! zawołała p. Muche.

— A Pani?

— Ja co innego, odparła z prostotą.

P. Brochat ustąpił.

W tej chwili pacyent, leżąc nieruchomo z oczyma szeroko rozwartemi — zaczął majaczyć:

— Przedruki i imitacye nie są oryginałami... — Francja potrzebuje takich Janów de Tournes,. po cztery franki metr...

— Widzi Pan znowu biedaczysko gorączkuje — serce pęka patrzcie na to. Człowiek tak dobry, tak zacny!

I poraz pierwszy żelazna ta istota wybuchła głośnem spazmatycznem łkaniem.

— Tak, jak na kawalera, to był rzeczywiście zacny człowiek — zamruczał P. Broehat i wyszedł nagle, czując się nadto wzruszonym. W jego oczach Bajolein już był straconym.

P. Brochat omylił się. Z końcem trzeciego tygodnia choroby nastąpiło przesilenie. Po zażyciu jakiegoś energiczniejszego lekarstwa, Bojolein zapadł w głęboki dwudziesto kilkogodzinny sen. Pani Muche była już wielce zaniepokojoną tak długą bezwładnością i zupełną nieruchomością pacjenta. — Szczęściem nadszedł lekarz.

P. Muche sledziła wyraz twarzy doktora, gdy ten badał puls chorego, i wyczytała z jego oczów szczęśliwą wiadomość.

Uratowany! zawołała, drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak sądzę, jeżeli nic niespodziewanego nie zajdzie, odpowiedział lekarz i zapisawszy odpowiednie lekarstwo, opuścił pokój serdecznie odprowadzony przez odźwierną.

W godzinę później Bajolein otworzył zwolna oczy. Spostrzegł przed sobą swą gospodynię, siedzącą w nogach łóżka z okiem wilgotnem i promieniejącem, zwróconem na niego.

— Pani Muche...

— Obudził się! Poznał mnie! zawołała z najwyższą radością. Ale sza! niech pan nic nie mówi, doktor zalecił spokoj.

Wiadomość o tem szczęśliwem przesileniu doszła szybko P. Brochat. Gdy stary przyszedł odwiedzić swego wiernego pomocnika zdziwił się nie mało ujrzawszy w pierwszym pokoju Panią Muche, która wyszła na jego spotkanie. Radość i szczęście, które się malowały na jej twarzy, uczyniły ją prawie piękną i stanowiły szczególnie korzystny kontrast z dawnym wyrazem troski i ciągłego niepokoju

Zdawalo się, że kobiecina odmłodniała a charakterystyczna brodawka, znowu wędrowała wesoło po lewym policzku, będąc najwyrazistszym tłumaczem uczuć swej właścicielki.

— A Panie Brochat. zawołała — jakżeż on się ucieszy, widząc Pana u siebie.

Proszę niechże Pan będzie łaskaw wejść. Tylko... chciałabym jeszcze coś Panu powiedzieć... parę słów.

— Parę słów? To będzie może trochę za wiele. Ale zresztą, o cóż idzie?

— To jest właściwie... ja mam do pana prośbę... wielką prośbę.

— No, coż takiego?

— Przedewszystkiem, żeby Pan nic nie mówił panu Bajolein na co, i że tak długo chorował, niech mu pan powie, że to było zaziębienie lub lekkie zapalenie, bo onby zaraz przypuszał, że ja się zamęczyła pielęgnując go i Bóg wie co!

— Dobrze, to mi wszystko jedno, byle tylko mógł już raz przyjść do księgarni i zabrać się do roboty.

— Mam nadzieję, że do trzech dni wyzdrowieje o tyle, by zaglądnąć na chwilę do pana, chociaż wątpię czy zaraz będzie się mógł wziąść do pracy. Zależałoby mi jednak bardzo na tem, żeby był zdrów na św. Anzelm.

— A to dlaczego?

— W tym dniu wypadają jego imieniny. I właśnie z tego powodu miałam prośbę do pana... Chciałabym mu zrobić jaki prezent, jakiś skromny podarunek na pamiątkę szczęśliwego powrotu do zdrowia. Nie mogę ponieść wielkiego wydatku, ale pragnęłabym z drugiej strony ofiarować mu coś, coby mu rzeczywistą sprawiło przyjemność. A cóż dla niego może być milszego, jak jaka stara książka! pan by mógł pomódz mi w tym względzie... coś niezbyt drogiego... tak do 10 franków — bardzo a bardzoby mnie pan tem zobowiązał!

Pan Brochat próbował się zachmurzyć i usiłował przybrać zwykły szorstki i surowy ton — zdobył się jednak tylko na lakoniczną odpowiedź:

— Pomyślę o tem... Przyjdź pani do mnie za parę dni — może się to da zrobić.

To mówiąc wszedł do pokoju pacjenta.

Bojolein siedział w wielkim fotelu przy oknie naprzeciw swej biblioteki. Jasne promienie słońca oświetlały białe firanki, czysto pokryte łóżko i grzbiety starych książek, które gdzieniegdzie błyszczały jeszcze na pół wytartemi złoceniami.

Na widok swego pryncypała, chory chciał powstać — p. Brochat powstrzymał go ruchem ręki prawie rozkazującym.

— Dziękuję panu, żeś był tak łaskaw mnie odwiedzić. Wielką mi pan tem przyjemność sprawiłeś, bardzo wielką.

I rzeczywiście wyraz jego twarzy potwierdzał w zupełności te słowa: szczera radość malowała się w jego oczach i uśmiechu bladych jeszcze cokolwiek ust. P. Brochat, pomny przestróg odźwiernej, nie pozwolił mu wiele mówić, zresztą Bajolein był jeszcze jakby zmęczony chorobą, słowa leniwie i jakby z trudnością mu przychodziły — niemniej jednak z całą uprzejmością pełnił obowiązki gospodarza, prezentując gościowi swoją bibliotekę.

A było na co spojrzeć!

We wzorowym porządku stały cenne dzieła na półkach, z wyrazem godności i powagi, który odpowiadał ich wiekowi i pochodzeniu. Od najmniejszych formatów do pełnych „in folio“ wszystkie imponowały, to dobrze jeszcze zachowaną okładką pergaminową, to znów zupełnie oddartym grzbietem, który dozwalał widzieć zżółkły papier z brunatnymi już prawie brzegami lub złotem i różnymi kolorami wyciskane ozdoby

P. Brochat oglądał te dzieła pojedyńczo, czytając głośno tytuły.

Były tąm: Życie Moliera przez Grimarest, wydanie z r. 1705; Uwagi polityczne nad zamachem stanu, przez Gabryela Naudé „Paryż, 1679“. List śp. P. Balzaca do P. Conrart'a“ prawdziwy elzewir Amsterdamski z r. 1664, dobra data!. Było tam jeszcze wiele innych równie cennych antyków, p. Brochat jednak przerwał swój przegląd i zapytał nagle:

— A Pański kalendarz historyczny? Nie ma go tu?

— Mój Jan de Tournes? — odpowiedział chory trochę zmieszany. On będzie w kieszeni mego szlafroka.

— W kieszeni! To pan się z nim kryjesz?

— Tak jest Panie Brochat, ukrywam go ale to nie bez kozery. Dziwię się, że go pani Muche nie zobaczyła podczas mojej słabości. Gdyby go odkryła domyśliłaby się może jego wartości — chociaż ja go bardzo tanio kupiłem — ale zawsze ona by się tem zmartwiła.

— A pan byś nie chciał jej martwić?

— Ją! — O! P. Brochat, gdybyś Pan wiedział jak ona mnie pielęgnowała podczas słabości! To się nie da wypowiedzieć! Byłbym podłym niewdzięcznikiem, gdybym kiedykolwiek o tem zapomniał, gdybym się nie starał jej zato wszystkiemi siłami wywdzięczyć!.., I właśnie mam się pana o coś zapytać...

— Dobrze, pomyślał p. Brochat, dziś jakiś szczególny dzień zwierzeń.

— Moje pytanie wyda się panu może śmiesznem — ale niech pan będzie wyrozumiałym — kawalerowie nie mają najmniejszego wyobrażenia o niektórych rzeczach... Wiele naprzykład może kosztować materya na całą suknię, jeżeli metr po 4 franki?

Pan Brochat poruszył się zdumiony. Zrozumiał, że Bajolein miał także jakiś prezent na mysli. Dwie te zacne dusze: pana i gospodyni spotkały się więc w jednakiej intencji.

— Mój kochany, ja nie mam także o tem dokładnego pojęcia — wiem tylko tyle, że rachunki modniarskie mojej żony zwiększają bardzo znacznie ogólne moje wydatki na dom.:

— Ah! to tak dużo wynosi? zawołał Bajolein cokolwiek zaniepokojony.

— Niestety! Cóż robić... Ale co do twego zapytania to sądzę, że tak cała suknia wyniesie około 70 do 80 franków... Ośmdziesiąt franków powinno wystarczyć.

— Ośmdziesiąt franków! — powtórzył Bajolein z przerażeniem. P. Brochat mógł czytać w twarzy biedaka wyraz szczerego smutku i przygnębienia Bajolein myślał widocznie o tej, którą tak szanował i kochał, która go nie odstępowała w czasie choroby i z narażeniem zdrowia pielęgnowała, która go uratowała od śmierci... I on nie mógł jej okazać swej wdzięczności nawet taką drobnostką, jak suknia merynosowa za 80 franków!

Pryncypał zamyślił się również.

Mruk ten układał jak się zdaje jakąś kombinacyę — bo po chwili zapytał swego gospodarza odmiennym cokolwiek tonem:

— Z tem wszystkiem Pan mi nie pokazałeś swego kalendarza, no wyjmij go pan z kieszeni. Kryjesz się z nim jak byś się bał, abym ci go nie odebrał.

Bajolein poruszył się niespokojnie.

— Od czasu, jak ten kalendarz wypadł panu z kieszeni w księgarni, myślałem o nim dużo — a teraz widok pańskiej biblioteki poruszył we mnie dawną żyłkę b bliomana.

Bajolein zbladł.

— Czy panu tak bardzo na nim zależy? Bo jabym miał na niego rzeczywiście wielki gust — ale jeżeli panu to przykrość sprawia — nie będę pana kusił.

Nie mówmy o tem.

B jolein nie odpowiedział nic. Straszne przeczucia i obawy ścisnęły mu serce. Przesunęła mu się bowiem w myśli możność kupienia sukni koloru szczawiowo-zielonego — za cenę... Jana de Tournes! Ale rozłączyć się z tą książką!

— Dajmy temu spokój — powtórzył p. Brochat. Niepotrzebnie poruszyłem tę sprawę, tem bardziej, że mógłbym panu za niego ofiarować zaledwie 100 franków a on wart więcej. Możemy o tem zresztą pomówić, skoro pan zupełnie wyzdrowiejesz, co spodziewam się niezadługo nastąpi.

P. Brochat nigdy może nie przemawiał tak łagodnie i tak miękkim głosem — czuł on potrzebę oszczędzania rekonwalescenta, któremu swą propozycją tak straszną zadał ranę.

Dla tego też nie nalegając dłużej powstał i pożegnał się:

— Do widzenia zatem w krótce w księgarni.

Bajolein, pozostawszy sam, rozmyślał długo nad propozycyą swego pryncypała. Widział on, że mu wypada poświęcić tę drogą książkę, która mu już tyle chwil rozkosznych sprawiła, z powodu której już tyle miłych doznał wzruszeń i którą z dniem każdym coraz bardziej cenił i lubił.

I teraz wziął ją do ręki i z prawdziwem uczuciem na skarb swój spoglądając, otworzył ją po raz tysiączny. Przewracał kartki ze szczególną uwagą przypatrując się pięknym ozdobom każdej strony. Tak chciwie i z takiem zajęciem oglądał i podziwiał swój kalendarz, nie mogąc się oderwać, jak gdyby to było po raz pierwszy lub .... ostatni. Nagle jednak powstał i szybko położył książkę na jej dawne miejsce — bojąc się może, by się do niej zbyt nie przywiązał.

Bajolein źle spał tej nocy. Na szczęście nie było obawy recydywy. Jakież szczególne sny trapiły biedaka! Suknia, książka — wypróżniona zupełnie sakiewka, wszystko jakby w dzikim tańcu przesuwało się przed jego oczyma. Ledwie nad ranem zdołał cokolwiek zasnąć. Obudził się dopiero koło dziesiątej rano, był smutny — lecz spokojny. Ofiara była postanowioną.

W dwa dni później została rzeczywiście spełnioną.

III.

21 kwietnia w dzień św. Anzelma Bajolein wstał wcześniej niż zazwyczaj; w dobrym humorze. Jasny promień wiosennego słońca wesoły jak on, igrał przed oknem a Bajolein zdrów już zupełnie lekki swobodny zacierał ręce z zadowoleniem.

— Za chwilkę ma przynieść mi czekoladę.. a to będzie wyborne! to będzie znakomite! Mówiąc to wyjął z komody dość spory pakiet źle zawinięty, gdyż z pod rozsuniętego cokolwiek papieru widać było jakieś zielone sukno... Zamykając szufladę rzucił biedny Bajolein okiem na miejsce gdzie dawniej leżał Jan de Tournes i westchnął głęboko.

W tej chwili zapukano do pokoju. Bajolein miał zaledwie czas ukryć swój pakiet za plecami i chrząknąć dla nabrania pewności.

— Proszę — rzekł.

Pani Muche zarumieniona jak piwonia, weszła trzymając coś pod fartuszkiem — zapewne jakiś pakiecik.

— Panie Bajolein — rzekła — dzisiaj Pańskie imieniny

— Pani o tem pamiętała?

— Naturalnie.

— Bo ja także — chciałem...

— Ja sobie pozwoliłam, Panie Bajolein..

— ...Pani ofiarować...

W tej chwili oba pakiety wyszły z ukrycia i dwa radosne wykrzykniki rozległy się w pokoiku.

— Suknia merynosowa!

— Jan de Tournes!

Niemy podziw i osłupienie malowały się w twarzach dwóch tych godnych istot. Wreszcie Pani Muche pierwsza zdołała się zdobyć na słowo:

— Panie Bajolein — co Pan znowu zrobiłeś! Pan się rujnujesz! Po cóż ten prezent — przecież to Pańskie — nie moje — dziś imieniny!"

— Ale Pani! co Pani sobie myślisz! Ta książka nieoceniona to — więcej jak lekkomyślność, to jest prawdziwe szaleństwo!

— Ta książka mnie wcale nie wiele kosztuje. — Pan Brochat mi ją sprzedał za cenę może książki do modlenia... To zacny człowiek ten Pan Brochat!

— O! tak Pani Muche, to bardzo zacny człowiek — nawet bardziej zacny niż Pani możesz przypuszczać! I szczęśliwy bi-

blioman nie mógł powstrzymać gorącej łzy wzruszenia, którasplynęła mu po policzku..

— P. Muche rzekł czule — chcesz mi Pani zrobić wielką przyjemność?

— Cóż takiego?

— Pozwól mi pani się pocałować?

P. Muche spłoniona nastawiła pełny policzek, na którym Bajolein złożył głośny, serdeczny pocałunek.

Była to piękna chwila.

Tymczasem czas upływał — trzeba było iść do księgarni.

Bajolein zobaczywszy P. Brochat synowca, z bijącem sercem zaczął mu dziękować. Pryncypał był dziś jakoś nieprzystępny.

— Ja kupuję i sprzedaję — jak mi się podoba — nie życzę sobie, by się kto mieszał w moje interesa, odpowiedział tonem ostrzejszym jeszcze, niż zwykle.

— Dziękuję, dziękuję—Panie Brochat.

— A! byłbym zapomniał panu powiedzieć. Będziesz Pan teraz miał o 50 franków miesięcznie więcej — ale bój się Boga — oszczędzaj — rachuj się z groszem!

Cesarzowa autorką dramatyczną.

Literatura z ostatnich czasów wykazuje cały szereg monarchów ubiegających się o skromny wieniec autorstwa.

Dość przytoczyć etnograficzne prace arcks. Rudolfa, nader pochlebnie przez bezstronnych znawców przyjęte, — wspomnienia z podróży, utwór straconego w Meksyku arcks. Ferdynanda Maksymiliana, — liryczne poezje obecnej królowej rumuńskiej (Carmen Silva) Karola XV szwedzkiego — komedje Amalii, ks. saskiej i Elimara Oldenburskiego („Al. Günther“), — tragedje pruskiego ks. Jerzego („G. Conrad“) i mnóstwo innych, aby dojść do przekonania, że ręka do berła przyzwyczajona, może tak samo zręcznie jak dłoń każdego innego śmiertelnika chwycić za pióro...

Żadna jednak cesarzowa od wieku już nie wystąpiła na widownię literackiego świata. Ażeby tytuł naszego studjum usprawiedliwić musimy cofnąć się aż po wiek XVIII, i w osobie Katarzyny II bohaterkę swoją obrać...

Semiramis północy, jak ją pochlebnisie petersburscy nazywali, rywalizowała o pierwszeństwo z Frydrykiem Wielkim zarówno w polityce, jak w literaturze. Podobnie. jak on, starała się Katarzyna o przyjazne stosunki ze znakomitymi pisarzami owczesnej Francji. Znaną jest jej korespondencja z Voltair'em i D'Alembertem, których napróżno usiłowała na swój dwór sprowadzić. Naśladując też króla Frydryka, napisała sama kilka dziełek. Historja Rosji, słynny wstęp do księgi ustawodawczej, moralne i alegoryczne powiastki dla wnuków — najważniejsze w ich liczbie zajmują miejsce.

O wszystkiem tem obszerne napotkać można wzmianki w licznych biografiach Katarzyny, i trudnem było by kusić się o zdobycie jakichś nowych szczegółów z tego zakresu. Jest jednakże jedna strona jej działalności nietknięta dotąd, a choć może mniej jak inne ważna, to w każdym razie równie ciekawa i zajmująca...

Po powrocie z Krymu (1787) odegrano na scenie „Eremitażu“ w Petersburgu cały szereg nieznanych dotąd komedyjek i przysłów dramatycznych, a już ta okoliczność, że tylko specjalnie przez sekretarjat carski zaproszeni goście mieli wstęp do amfiteatru widzów, musiała naprowadzać na różne domysły o autorstwie przedstawianych utworów dramatycznych, Jakoż w istocie kilka z nich, sześć mianowicie, wyszły z pod pióra Katarzyny. Hr. Kudwik Filip de Ségur d'Aguessau utworzył ze sztuczek przedstawionych w „Eremitażu“ cały zbiorek i wydał go 1798 r. na widok publiczny.

We wstępie do tej, dziś za nadzwyczajną rzadkość uchodzącej, książeczki pisze wydawca: „Doborowa trupa artystów, do której sławny Aufréne i Fastier (uczeń Préville'a) należeli, odegrała utwory te przed nieliczną, wyłącznie do tego uprawnioną publicznością. W gronie autorów znajdowała się cesarzowa, — hr. Coblenz poseł niemiecki, — P. Ségur, minister francuski, — książe Ligne, austrjacki generał, — Alexander Momonof, ulubieniec cesarzowej, — hr. Strogonof, senator, — Iwan Szuwałow, wielki podkomorzy carski, — D'Estat, urzędnik carskiego gabinetu i córka aktora Aufréne...“

Jakkolwiek zajmującą byłoby rzeczą prace wszystkich wymienionych dyletantów przejrzeć, plan zakreślony zmusza nas do pozostania wyłącznie przy cesarzowej. Przedewszystkiem zauważyć musimy, że genialnych jakichś blasków napróżnoby w jej ramotkach szukać. Inny sąd byłby czczem tylko pochlebstwem. Gdyby nie sława cesarzowej, wiadomość o Katarzynie II. jako autorce dramatycznej nie doszłaby naszych czasów. Prac dramatycznych „wielkiej carowej“ nie można jednak potępiać bezwzględnie; przebija z nich lekkie pióro, gdzieniegdzie żywy djalog, czasem humor, a zawsze dokładna znajomość warunków scenicznych. Są tam nawet rzeczy, które i dzisiaj jeszcze uchodzićby mogły, jako lever de rideau.

Z sześciu utworów Katarzyny II pięć jest przysłowiami dramatycznemi. Szósty składa się z szeregu luźnych, niepowiązanych scen dramatycznych tak różnego charakteru, że niepodobna ich ująć w żadną definicję. Tytuł tego dziwadła brzmi: „Imition de Shakespeare“, niżej zaś czytamy zgodny z rzeczywistością przypisek: „sans obserwation d'aucune regle du théatre“. Tragiczność nie stanowiła widocznie pola popisowego dla cesarzowej; w życiu umiała ta nieugięta, własnego męża detronizatorka, o wiele potężniejsze wywoływać efekta.

W „imitacji Szekspira“ — nie myśl czytelniku, aby istotnie było w niej coś szekspirowskiego, — wprowadza Katarzyna Ruryka na scenę. Gostomusil (sić.) książe nowogrodzki przekazuje na śmiertelnym łożu tron po sobie trzem synom swojej córki Umili: Rurykowi, Syneusowi i Truworowi. Vadim, syn najmłodszej córki wytęża wszystkie swoje siły, ażeby trzech tych braci z tronu ogołocić, i samemu ich miejsce zająć. Wszystkie jednak jego zabiegi pozostają bezskuteczne; Ruryk wstępuje na tron, dwaj inni bracia dzielą z nim władzę, a zawstydzony otrzymanem przyrzeczeniem Vadim, zrzeka się swych ambitnych planów W postaci Umili, widocznie z osobliwszem zamiłowaniem naszkicowanej, przedstawia autorka kobietę zupełnie swemu mężowi uległą, uwielbiającą go jak bożyszcze. Rzecz dziwna, że kreacja taka mogła właśnie powstać w wyobraźni kobiety, która nigdy w obec męża swego podobnej poddańskiej roli nie grała. Jeżeli zwarzymy, iż słowa te skreśliła Katarzyna, jak dziwnie brzmi wtedy w ustach Umili następujące zdanie: „Przywykłam bez szemrania znosić twoją wolę, wiem bowiem, jaką ozdobą płci naszej jest pokora. Tyś królem: sprawy twoje — to sprawy państwa. Chociażem twoją żoną, uważam za rzecz niegodną wdzierać się w tajemnice twego dostojeństwa...“ Mimowoli przypomina się tu pewien ustęp z pamiętników tejże cesarzowej (przez Hercena wydanych): „Z natury byłam już skłonną i przyzwyczajoną do wypełniania obowiązków. Ale potrzebowałam wyjść za mąż za człowieka, któryby rozum posiadał, a tego właśnie jemu (Piotrowi III) brakowało... Inny znowu rys charakteru Katarzyny odnajdujemy o parę kartek dalej,

w słowach jakiegoś nowogrodzkiego mieszczanina: — „Im więcej znajduje się ludzi, którzy gorliwie pracują dla dobra swego księcia i dla zbawienia ojczyzny, tem więcej bywa też intrygantów, ale władca, który nie po słodkich minach, jeno po zacnych czynach sądzi ludzi, potrafi żelazną ręką wykorzenić te chwasty społeczeństwa...“

Komedyjka „L e t r a c a s i e r“ jest illustracją przysłowia U n t i e n s v a u t m i e u x, q u e d e u x t u l'a u r a s“ (Lepszy wróbel w garści niż kanarek w powietrzu). Rodencour, istota wściupska i gadatliwa, sprowadza zamięszanie pomiędzy swego kuzyna Noncalme a jego narzeczoną i markiza de Souche. Zawikłanie to skłania ostatecznie piękną markizę, do zrzeczenia się pysznych swych planów i oddaje rękę kawalerowi Moncalme.

Udramatyzowane prrysłowie „p r o m e t r e e t t e n i r c'e s t d e u x“ nosi tytuł „L a r a g e a u x p r o v e r b e s, Bohaterem, który wiele przyrzeka, a nic nie dotrzymuje jest Mr. Dantée. Przyrzekł on dla pani Tautine, której kuzynkę Rozalią, do szaleństwa pokochał, ułożyć parę przysłów. W charakterystyce tej pani Tautine, szydzi cesarzowa ze samej siebie. „Dniem i nocą zajmuje się przysłowiami: układa je lub przedstawia, wyczerpawszy się zaś sama, żąda aby inni takowe tworzyli, lub przedstawiali. Jedni przyrzekają jej, ale nigdy przyrzeczeń nie dotrzymują: inni, którym cierpliwości już nie staje uciekają, od niej, jak od szalonej. Są też i tacy, którzy w krwawym pocie czoła kleją dla niej przysłowia. Tak więc jej żądza dziwaczna porusza świat cały, zmuszając siebie do myślenia, innych do mówienia, a jeszcze innych do przedstawienia wymyślonych i opowiadanych przysłów...“ Mr. Dantée pomimo najszczerszych chęci nie umie dotrzymać przyrzeczenia. Przedtem jednak przechodzi on kilka scen drastycznego komizmu. Wyborna też jest nauka poczciwej ciotuni, uczącej swą siostrzenicę praktyki życia. Niewypada, aby młoda dama dobrego pochodzenia, miała cerę tak zdrową, jak ludu wiejska dziewczyna; delikatność cery, wiotkość członków — to jej ozdoba. Dla tego też pość moje dziecię, nocami czuwaj jak możesz najdłużej, a z pewnością, zaćmisz wszystkie swe rówieśniczki pięknością...“

Najwięcej atoli satyry przebija się z jednoaktowego żartu „L e f l a t t e u r e t l e s f l a t t é e s“. Jestto dramatyczne przedstawienie znanej bajeczki o kruku i lisie, mogące służyć za dowód, że cesarzowa umiała zachować na swej wysokości należyty sąd o pochlebcach.

Przysłowie „A b e a u m e n t i r q u i, v i e n t d e l o i n“ dostarczyło koronowanej autorce motywów do hulaszczej komedyjki p. t. „L e s v o y a g e s d e m r. B o n t e m p s“. Mme du Poid ma wesprzeć znacznym zasiłkiem swego kuzyna, nazwiskiem Bontemps. Bo też straszny los go spotkał! Zaskoczony przez bandę opryszków „w kraju, gdzie pełno kur i kogutów, ale jaj brak zupełny, gdzie pomimo mnóstwa krów i byków ani jednego niema cielęcia“ — musiał złożyć im on całe swoje mienie dla uratowania życia. Poczciwa ciotunia otwiera już kasę, gdy nagle wpada ojciec Bontemps'a. Kłamstwo młodego łobuza wychodzi na jaw, a bajeczna kraina okazuje się nie czem innem, jak prostą fantazją, wymyśloną dla spłacenia już protestowanych weksiów.

Jeszcze żwawiej toczy się przysłowie „i l n' y a p o i n t d e m a l s a n s b i e n“ przepełniony pieprznymi djalogami. Huczne oklaski miały się odezwać w audytorium „eremitażu“ przy odpowiedzi mr. Maigret'a na zapytanie, dla czego panią Richardet właśnie, a nie kogo innego chciałby połączyć małżeńskiemi węzłami ze swym kuzynem...

— „Rzecz prosta!“ — mówi poczciwy mr. Maigret — „Dom pani Richardet leży w tej samej dzielnicy, co dom mego kuzyna. Ażeby inną żonę mu wyszukać, musiałbym odbywać znacznie dalszą drogę; pani Richardet miała tę nieocenioną zaletę, że mieszkała najbliżej. Pojmiecie całą doniosłość tej okoliczności dla człowieka, który tak jak ja, na odciski cierpi...“

Wszystkie te dramatyczne bagatelki Katarzyny II, są owocem czysto dyletanckim. Zrodziła więc je chęć oklasków? Niezawodnie! W każdym z wymienionych utworów smaga cesarzowa sama siebie biczem ironii, wyzywając tym sposobem protesty, ktore niczem innem być nie mogły, jak wyrafinowanem pochlebstwem...

Eros.

Kronika naukowa.

(Otrzymanie diamentów drogą sztuczną).

Węgiel znachodzi się w naturze w trzech różniących się znacznie odmianach. Każda z nich ma obszerne zastosowanie: węgiel bezpostaciowy ogrzewa nasze pomieszkania, porusza maszyny wykonuje tysiąc czynności; grafit...! któż nie zna ołówków? któż nie zna tych fabrykatów Hartmutha, Fabera i t. d. Nakoniec któż nie podziwiał trzeciej odmiany węgla mieniącego się tysiącznemi barwami diamentu. Własności tej ostatniej odmiany, jako też jej rzadkość, a więc w następstwie wysoka cena, sprawiły iż zaczęto jej używać jako ozdoby.

Każdy przedmiot droższy usiłowano zawsze, w wysokim zaś stopniu dzisiaj, zastąpić innym, tańszym, zbliżającym się ile możności do oryginału. To samo stało się z diamentem; najrozmaitszego rodzaju przemysłowcy usiłowali zastąpić go i naśladować. W tem celu używano rozmaitych gatunków szkła, posiadającego także własność załamywania światła, podobnie jak diament tylko w mniejszym stopniu. Naśladownictwa tego rodzaju są często nadzwyczaj udatne, sprawiają one w oku to samo złudzenie i różnią się tylko składem chemicznym i twardością od naturalnego diamentu. Z czasem pokuszono się o wytworzenie diamentów prawdziwych drogą sztuczną. Spodziewano się iż wykrycie płynu, w którymby się węgiel rozpuszczał, przyniesie żądane rozwiązanie. Bo cóż łatwiejszego jak rozpuścić węgiel w podobnym płynie, aby go napowrót otrzymać w postaci kryształów. Płyn podobnego rodzaju wykryto nareszcie, jest nim roztopione żelazo, które rozpuszcza w sobie znaczny procent węgla. A więc diamenty już dają się otrzymać sztucznie? Tak. Diamenty dają się otrzymać, tylko nie w ten sposób. Węgiel wykrystalizowany z żelaza wydziela się nie jako diament, lecz jako grafit; tą drogą nie otrzymano więc pożądanych rezultatów, lecz otrzymano je w sposób zupełnie inny.

Chcąc należycie poznać ten wynalazek, a właściwie odkrycie młodego chemika J. B. H a n n a y musimy wstąpić na chwilę do jego pracowni i przypatrzyć się doświadczeniom, które już od dłuższego czasu go zajmują.

Na pozór nie mają one nic wspólnego z diamentami, sam Hannay wykonując je nie spodziewał się podobnego rezultatu. Badania jego miały na celu poznanie zachowania się rozmaitych cieczy w zamkniętych naczyniach wystawionych na działanie wysokich temperatur. Nie był on pierwszym na tem polu, już przed pół wiekiem zajmował się tą samą kwestją wynalazca syreny C a g n i a r d d e l a T o u r i A n d r e w s.

Prace tego ostatniego doprowadziły do poznania pewnej temperatury, którą nazwano: punktem krytycznym. Jako przykład

objaśniający weźmy bezwodnik węglowy, który w zwykłej temperaturze jest gazem.

Jeżeli to ciało gazowe ogrzejemy znacznie i poddamy ciśnieniu kilkudziesięciu atmosfer, zauważymy wówczas, iż gaz się jeszcze nie skroplił, znajduje się jednak w jakimś stanie pośrednim między gazem a cieczą. Przy obniżeniu temperatury bezwodnik węglowy przechodzi natychmiast w ciecz, przy obniżeniu ciśnienia napowrót w gaz. Podobne doświadczenia wykazały wszelkie stopnie, jakie ciała przechodzić muszą aby, ich stan skupienia lotny przeszedł w ciekły i na odwrót; wykazały one dalej iż podobne przemiany nie odbywają się raptownie lecz powolnie i nieznacznie, tworząc nieprzerwane pasmo między jednym a drugim stanem. Ta właśnie charakterystyczna temperatura, przy której największe ciśnienie nie zdoła już gazu zamienić w ciecz zowie się: punktem krytycznym; punkt krytyczny jest dla każdego gazu inny, zaś dla tego samego stały.

Naodwrót ciecz zamieniona w gaz i ogrzana po nad punkt krytyczny, nie daje się również skroplić.

Rozpuśćmy jakie ciało stałe w cieczy zamkniętej w naczyniu i ogrzewajmy ją po nad punkt krytyczny, ciecz zamieni się wówczas w gaz lecz cóż się stanie z ciałem rozpuszczonem?...

Podobne pytanie postawił sobie Hannay przy swych doświadczeniach.

Na pierwsze wejrzenie zdawać by się mogło, iż ciało rozpuszczone wydzieli się napowrót jako ciało stałe, jeżeli się w temperaturze, do jakiej ciecz ogrzaną została, nie ulatnia. Tymczasem doświadczenie wykazało zupełnie co innego. Ciało stałe nie wydzieliło się wcale, lecz pozostało rozpuszczonem... w gazie.

Opiszemy tu jedno z licznych doświadczeń wykonanych przez Hannay'a.

Gruba rura została do połowy napełnioną roztworem alkoholicznym jodku potasu, zatopioną i wystawioną na działanie temperatury wyższej od punktu krytycznego. Alkohol przeszedł w stan gazowy a jodek potasu pozostał w nim rozpuszczony. Za pomocą odpowiedniego urządzenia można było wystawić kawałek jodku potasu na działanie gazów alkoholu i obserwować jak się w tym niewidzialnym rozczynniku powoli rozpuszczał.

Zmiejszając ciśnienie wewnątrz rury wydziela się jodek potasu na ścianach naczynia w postaci drobnych kryształków, które się znowu rozpuszczają i nikną z zwrastającem ciśnieniem.

Podobne doświadczenia robiono z najrozmaitszemi ciałami i otrzymywano zawsze ten sam skutek, nie więc dziwnego iż Hannay postanowił to samo uczynić i z węglem.

Na wstępie powiedzieliśmy już, iż węgiel rozpuszcza się tylko w płynnem żelazie. W jakimże więc naczyniu zamieniać żelazo w stan lotny, w jakiej temperaturze? Są to trudności, które skłoniły Hannay'a do rozwiązania tego problematu nie wprost, lecz drogą uboczną.

Jeżeli jaki węglowodor gazowy t. j. ciało zawierające w swym składzie chemicznym tylko węgiel i wodor, poddamy wysokiemu ciśnieniu w temperaturze żaru w obecności niektórych metali jak, magn lub sód, wówczas następuje rozkład; wodor węglowodoru łączy się z metalem, podczas gdy węgiel wydzielony zostaje.

Oto wynik naukowy badań Hannay'a. Przy badaniach tych posługiwał się on rurami żelaznemi o średnicy otworu $1/2$ a grubości $3 1/2$ cala, mimo tego rury te pękały jeszcze dziewięć razy na dziesięć doświadczeń.

Węgiel w ten sposób wydzielony ma wszystkie oznaki diamentu.

Badany przez odkrywcę i prof. Maskelyne okazał się w rzeczy samej najczystszej wody diamentem. Rysuje on doskonale nawet safir, załamuje światło zupełnie prawidłowo, ciężar gatunkowy jego wynosi 3·5, spalony daje 97·8% czystego węgla. Wszystkie te cechy wskazują jak najdokładniej, iż materja otrzymana przez Hannay'a nie jest niczem innem jak tylko prawdziwym diamentem. Problem więc rozwiązany, zachodzi jednak pytanie czy sztucznie otrzymany diament posiada warunki, któreby mu nadawały prawo zjawić się na targu w odpowiedniej ilości, jakości i cenie?

Dla uspokojenia jubilerów i zapewnienia im spokojnego snu dodaję, iż nie ma. najmniejszej obawy aby p. Hannay wystąpił ze swymi diamentami na targ.

Nie są one „zadziwiającej wielkości“ jak zwykle się w takich razach powiada, lecz owszem „zadziwiającej małości“. Koszta otrzymania dosięgają ceny wartości tychże, wszystkie więc obawy jubilerów jak na dzisiaj są bezzasadne, akcje kopalń diamentów stoją dobrze i nie obawiają się przesilenia.. Otrzymywanie diamentów drogą sztuczną ma, jak na dzisiaj, znaczenie li tylko czysto naukowe, spodziewać się jednak należy, iż wynalazczy duch ludzki nie poprzestanie na tym tryumfie naukowym lecz przeniesie go także i na pole przemysłu.

Kaz. Spoliński.

Przegląd artystyczny.

(Adaptacja dawnego kościoła przy spalonej akademji

Znawcy i miłośnicy sztuki narzekają oddawna już na to, że wszelkie naprawy i odnowienia budowli u nas odbywają się w sposób barbarzyński, niezgodny z najostrzejszemi zasadami estetyki. Szczególnie przy adaptacji budynków prywatnych restauracje wykonywane bywają bez względu na szacunek zabytków dawnych, ornamentyki starożytnej i tp. a dość przypomnieć sobie owo zerwanie wazonów barokowych przy zmianie dachów gontowych na blaszane, lub zmienianie charakterystycznej ornamentyki przy naprawie ścian, aby zapytać z żalem: Czemuż u nas nie zajmuje się nikt ochroną i tak niebardzo licznych pamiątek artystycznych, czemu w takich razach nie korzysta z praw swoich p. konserwator, mający obowiązek czuwania nad ich utrzymaniem.

Mając tyle przykładów niewesołych w naszem mieście pod tym względem, patrzyliśmy oddawna z obawą na ruiny kościoła obok spalonej akademji, czekając, rychło się weźmie ktoś do ich naprawy.

Obawy nasze nie były płonne. W tych dniach mieliśmy sposobność oglądać plan fasady odmurowanego kościoła i z żalem powiedzieć musimy, że budynek w sposób projektowany wykończony, nie będzie odpowiadać wymaganiom estetycznym. Kto zna ruiny dawnego gmachu — a któż ich nie zna — mógł się spodziewać, że całość wykończą w tym samym duchu i w stylu poważnym Odnowiona będzie mogła iść o lepsze z najpiękniejszymi budynkami we Lwowie. Tak jednak nie będzie. Sądząc według planu architekta, któremu powierzono wykonanie renowacji, z pięknych stosunków stworzył istny chaos. Główna fasada podzielona na dwie kondygnacje, jest w górnej swej części stosunkowo za wysoka, portyk zaś w wyższej kondygnacji, mający odpowiadać dolnemu, pięknemu portykowi o doryckich kolumnach, nie stoi w żadnym związku architektonicznym z dwoma wieżycami. Pod względem proporcji w ogóle spotykamy tu mnóstwo wad, a mianowicie dziwi nas, jak mógł architekta pozostawić w tak wielkiej dysproporcji okna w wieżycach, w stosunku do głównej bramy wchodowej, która z niemi prawie jednakowe ma rozmiary. Brak ten stosunku jest nawet przykry dla oka patrzącego na plan, a w rzeczywistości, bez kwestji wystąpi jeszcze jaskrawiej.

Wiemy o tem, że z góry, w zasadzie przyjęto konieczność osadzenia pięciu kopuł na cerkwi, nie winimy więc o to architekty, który główne warunki przyjąć musiał. Ale

wykonanie warunku należy już absolutnie do niego. Projektant umieścił główną kopułę nad nawą, inne nad prezbiterjum tudzież w obu wieżycach. Korony te ciężkie na wieżach, jeszcze więcej podnoszą ich linję pionową, tembardziej że obie kopuły spoczęły tu na dość wysokich bembnach, a wystrzeliły również w górę wyniosłemi latarniami. Cały gmach w ogólności, według projektu, znanego nam z planu jest chaotyczny, bo niema w nim linji dominującej, która jest głównym warunkiem stylu odrodzenia.

Roboty około fasady nie są dotąd rozpoczęte i dlatego zwracamy uwagę na wady kardynalne planu, które dotąd jeszcze łatwo dadzą się usunąć. Autor powinien by zastanowić się nad tem, i odpowiednie swemu pojęciu rzeczy poczynić poprawki. *H.*

Przegląd literacki.

(„Z różnych sfer. Serja nowa. 1. Sielanka nieróżowa. Daj kwiatek! Złota nitka. Zefirek. Lwów. Księgarnia polska 1882“,)
ocenił Antoni Mazanowski.

W życiu naszego społeczeństwa istnieje obok kwestyj powszechnie znanych, rozbieranych i wyjaśnianych, pewna ilość zagadnień, tkwiących głęboko, rozsuwających swe skutki — na szerokie koło socjalne, jak długie pasma, których węzłów szukać należy chyba w trudnościach psychologicznego rozwoju ludzkości. Stoją te kwestje obok reformy szkół, oświaty ludu, doskonalenia się handlu przemysłu i rękodzielnictwa, obok kształtujących się we wszystkich kierunkach form autonomii narodowej, wreszcie obok wielu kolizyj religijnych — z zakresem szerszym ogólniejszym, a treścią bogatszą, obejmującą całe dzieła narodowego życia. One to właśnie stanowią osnowę czterech obrazków Orzeszkowej – z ogólnie określonym tytułem „z różnych sfer“.

W 4tych obrazkach wydobywa autorka z różnych sfer społecznych kilka zagadnień wpływających na wytworzenie zła społecznego — i stara się je przedstawić zmysłowo, niby rany jątrzące się w żywem ciele, rzucając na nie snop jaskrawego, troszkę rażącego światła. Przypatrzmy się im bliżej.

Sierota Władek — bohater nieróżowej sielanki — wychowuje się na dalekiem przedmieściu Ogrodu w małej brudnej i ciemnej chacie pod okiem starej ciotki, kobiety złej, bez serca, skąpej, trudniącej się lichwą i zdzierstwem uboższych jeszcze sług i zarobników. — Z natury jest to chłopak bystry, pojętny, skory do czynu i wytrwały, niemal uparty. Łatwo sobie wyobrazić owoce zasiewu. Wypędzany z domu — głodny włóczy się po mieście i własnym przemysłem stara się zdobyć jedzenie. Nie uczą go pracować, nie zna przeto innego środka — jak żebranina, i kradzież. Żebrze więc. Co do kradzieży — o to nie tak łatwo. Zrazu cieszy się tylko widząc spryt Franka w tej sztuce. „Aj, aj, aj, Franek — jaki ten Franek zabawny, ściągnął chłopu z woza ser i uciekł... a chłop nie wie, gdzie ser podział się i wrzeszczy... ot, żebym tylko potrafił tobym też ściągnął, ale jeszcze nie dostanę ręką tak daleko“. Potrzeba tylko dobrej woli — a zdolność się znajdzie. Władek też próbuje „ściągać“ — to cukierki i ciastka ze stołu w cukierni stryja, dokąd niekiedy zagląda, to marchew i owoce na rynku, a wreszcie wpada na pomysł wyucza sobie gołębia przewodnika — i kradnie gołębie.

Takim jest Władek w 8ym roku życia. Jest to skończony łobuz, ale jeden rys czyni go łobuzem niepospolitym. Włócząc się po mieście — widzi panów i panie, karety i powozy ludzi bogatych — i rodzi się w nim najpierw pragnienie pieniędzy, a potem poczucie społecznej niesłuszności, co tak rozmaicie obdarza niemi ludzi. „Na pieniądzach świat stoi. Kto grosza nie ma, ten grosza nie wart, a kto go ma — hej — hulaj dusza!... Wszystko za pieniądze, i buty i surdut i jedzenie i zabawa“.

„Czy to sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy, a drugi nic, jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot — obdartusem jak ja... także niewiadomo za co!“ Wreszcie przybywa jeszcze jedno — nienawiść dla ludzi za to, że go takim zrobili. „Mnie wszystkie złości biorą, jak sobie pomyślę, że tak mię ludzie haniebnie zaniedbali. Ani nauki ani wychowania, ani majątku“ — a do tego — nikt mu nawet dobrego słowa nie powie. To też tak mu już zbrzydło to psie życie, że „ot — czasem ze zgryzoty rzuciłby się w tę sadzawkę“.

Tak powoli kształci się w jednym kierunku Władek. I nic go z drogi nie zwraca. Siła nawyknienia i przekonania — obok zupełnego braku poczucia praw własności, braku poczucia konieczności zastósowania celów i środków obfitych do tychże w całem społeczeństwie, spycha go coraz niżej po pochyłej i śliskiej drodze występku. Życie jego staje się niepewnem pasmem przyczyn i skutków, wysnutem przez autorkę konsekwentnie i ściśle do końca. W latach 18tu Władek na współkę z Frankiem, mistrzem swoim, usiłuje okraść bogatego ogrodnika, ale schwytany dostaje się za więzienne kraty. Skończona karjera. — A jednak Władek przedstawiał materjał na pożytecznego członka społeczeństwa. Wrodzone zalety, objawiające się w latach dziecinnych z większą siłą, później uśpione, zdradzają w nim dobroć i uczynność. Okazuje się to w stosunku do towarzyskich zabaw Marcysi. Taka sama sierota i uboga nieprawa córka pijaczki — pozostaje na wychowaniu u jego ciotki — w tych samych co on warunkach. Atoli mniej samodzielna, miękka, wrażliwa natura kobieca, czuła była, cierpliwa, skryta jak Władek, pilna w pracy i uważna — zdolna przedewszystkiem do kochania. Kiedy więc Władek marzy o bogactwie, ona czuje się jego marzeniami szczęśliwą. Pamięta troskliwą opiekę, jaką ją Władek otaczał, gdy była małą — i kocha go za to całą siłą serca, co pomimo mętów życia, w których przebywało, pozostało czystem i nieskalanem. Miłość staje się dla Władka, kiedy urósł, środkiem zaspokojenia popędów zmysłowych, dla Marcysi zaś aniołem Bożem broniącym ją od upadku.

Władek nie kocha Marcysi — albo raczej kocha jej kształtną postać, ładną twarz i wymowne oczy, jej smukły wzrost i pyszne włosy; ona przylgnęła doń całą duszę, całem głębokiem pierwszem uczuciem — co się oddaje niepodzielnie i na zawsze, na całe caluteńkie życie jak mówi. Kiedy więc Władka uwięziono, Marcysia rozpaczała — i prawie w szaleństwie upija się. Istotnie wcale to nie różowa sielanka. Z dwóch gniazd z gniazda lichwiarki i pijaczki — dwoje dzieci — przechodzą przez życie, każde zresztą swoją drogą, związane tylko pozornym węzłem miłości — i w połowie kończy się to życie katastrofą. Kto winien? Niesprawiedliwie postąpibyśmy, przypisując winę jedynie Władkowi i Marcysi.

(Dokończenie nastąpi).

Przegląd muzyczny.

Ostatni (czwarty) koncert Towarzystwa muzycznego odbył się w Niedzielę d. 22. z. m. Rozpoczęto Serenadą na instrumenta smyczkowe Hrimaly'ego, Dyrektora Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach, który sam przybył do Lwowa i dyrygował naszą orkiestrą przy wykonaniu tego utworu. Jestto kompozycja instrumentowana bardzo kunsztownie, co dowodzi, że autor odbył sumienne studja, lecz nadto wyszukane efekta instrumentacyjne, wobec lekkich aczkolwiek wdzięcznych motywów, rażą cokolwiek przesadą. Z wyjątkiem trzeciego ustępu tej serenady, w którym solo wiolonczelowe przy akompanjamencie „pizzicato

całej orkiestry, bardzo pięknie, czysto i z tonem odegrał p. Duz, młody amator wraz z p. Hrimalym z Czerniowiec przybyły, — pozostawiało wykonanie tego utworu pod wielu względami dużo do życzenia. Kompozycja ta wprawdzie wiele od orkiestry wymaga; jednak i znacznie trudniejsze rzeczy wykonywała orkiestra Tow. muzycznego wcale dobrze, tu więc tylko chyba niedostateczną ilością odbytych prób owe usterki tłumaczyć można. Z obowiązku sprawozdawcy nadmieniamy, że po każdym ustępie Serenady publiczność nie szczędziła oklasków a po skończeniu jej wywołała p. H. kilkakrotnie.

Następującemi potem numerami koncertu, dyrygował już p. Mikuli, a pierwszym z nich był utwór „In media nocte" Lesuer'a kompozytora francuskiego z końca XVIII w. na solo tenorowe, orkiestrę i organy.

Melodja to ciepła, wprost z duszy płynąca, umiejętnem stopniowaniem pięknie rozwinięta, ładnie przez p. Gerbicza odśpiewana, wielkie na słuchaczach sprawiła wrażenie.

Po raz drugi słyszeliśmy potem prześliczny prelud z poematu „Le Déluge" (Potop) Saint-Saens'a, jednego z najznakomitszych spółczesnych kompozytorów francuskich. W wykonaniu tego utworu odegrało główną rolę solo skrzypcowe, oddane prześlicznie przez p. Wolfsthala. Malutki ten wstęp tak nam się wydał ładnym i świeżym, że pragnęlibyśmy usłyszeć całe oratorjum, spodziewając w niem poznać jedną z pereł tegoczesnej literatury muzycznej.

Zakończyły koncert niedzielny dwa małe ale bardzo ładne utwory: „Hjertesar" (rany serca) i „Varen" (wiosna). Melodje te dziwaczne a tem samem nadzwyczaj oryginalne i charakterystyczne, w których obrobieniu i przeprowadzeniu znać rękę mistrza Griega — owego Chopina północy, (jak go Niemcy nazywają), — wykonane były przez orkiestrę smyczkową znakomicie i zachwyciły słuchaczów.

We środę d. 25, zm. odbył się piąty wieczorek Tow. muzycznego. W pierwszych dwóch numerach programu wystąpił znany nam już z niedzielnego koncertu p. Duz, amator,-wiolonczelista. Odegrał z panną Męsonatą. Onslowa na fortepian i wiolonczelę i wykonał ją, jak na amatora, bardzo dobrze. Dziwi nas tylko wybór kompozycji, jest przecież tyle prześlicznych sonat na wiolenczelę znakomitych kompozytorów n. p. Bethovena, Mendelssohna, Rubinsteina etc. u nas wcale nigdy albo oddawna nie granych, nie rozumiemy zatem tej szczególnej predylekcyi dla Onslowa, którego utwory nie odznaczają się ani głębokością myśli ani znów tak szczególną pięknością formy.

I pna Ma. i p Duz. okazali bardzo wiele zalet w grze swojej, całość jednak nie była bez braków. Panna Ma. nie jest jeszcze dosyć rutynowaną w eusemblach, dla tego też tempo nie zawsze równe zachowywano, fortepian przyspieszał, wiolonczela znowu w miejscach bardziej śpiewanych ritardowała cokolwiek a często nie zdołała (jak n. p. ze staccatami z 2 części) na czas zdążyć w obec pośpiechu młodziutkiej pianistki. Braki te kładziemy na karb tremy, od której rzadko są wolne sumienne a skromne uczennice p. Mikulego. Zresztą jeżeli sąd nasz wypadł zbyt surowo, to pod wpływem świeżego jeszcze wrażenia z koncertów Sauret'a, boć wiemy, że od amatorów nie mamy prawa wymagać tego artystycznego wykończenia w najdrobniejszych szczegółach, jakiem się wirtuozi odznaczać winni,

Następnie odegrał p. Duz. Nocturne Chopina i Gavotte Poppera a na uśmierzenie nie ustających oklasków nad program, Mazurek Chopina. W Nocturnie podziwialiśmy piękny ton jego instrumentu i pełną uczucia deklamację. W gawocie (wziętym w tempie cokolwiek za rozwlekłem) dał nam p. D. poznać swą dosyć wyrobioną technikę. Reasumując wszystkie zalety i wady gry pana D. musimy młodemu dyletantowi przyznać olbrzymi talent, wiele uczucia i dobry smak muzykalny, — widoczny jest jednak w grze jego brak dobrej, gruntownej szkoły a wskutek tego wiele usterek, które u samouka prawie jakim jest p. D. nie łatwo byłoby usunąć, są one bowiem wypływem błędnego traktowania zasadniczych reguł, będących podstawą techniki. Słowa tego ostatniego użyliśmy tutaj w znaczeniu szlachetniejszem, w znaczeniu środka do wzorowej i subtelnej deklamacji, łatwości w cieniowaniu w de-lub-crescendowaniu, w oddaniu pianissima nie pozbawionego dźwięczności i pełności tonu i t. p. Techniki bowiem w obszerniejszem znaczeniu (co do możności wykonywania i bardzo trudnych utworów) nie można panu D. odmówić. Niech nam szanowny nasz gość z Czerniowiec nie bierze za złe tych kilku uwag dyktowanych szczerą życzliwością — mieliśmy bowiem na myśli dalsze jego kształcenie się artystyczne a nie chcielibyśmy aby tak wielki talent zmarniał, zabity czczemi i bezmyślnemi pochwałami.

Zakończono wieczorek znakomitem wykonaniem ślicznej ballady Rheinbergera „Klarcia z Eberstein" na głosy solowe i chór mięszany z towarzyszeniem fortepianu. Cała rzcz szła doskonale, szczególnie zaś podnieść musimy spiew solowy pani A., która z nadzwyczajnem przyjęciem odśpiewała ustęp „Matusiu ma" i wzruszyła słuchaczy dźwięcznością swego głosu i pełną głębokiego uczucia deklamacją.

Wdzięczni jesteśmy bardzo Szan. Dyrekcji, iż dołączyć kazała do programu cały tekst ballady, nie możemy się jednak wstrzymać od uwagi, że możnaby we Lwowie znaleźć przecież kogoś, ktoby potrafił lepiej to przetłumaczyć, a choć to rzecz nie łatwa, uniknąłby może wierszów takich n. p.

„Twój ojciec leniwie bardzo tkał'
„Źle przędła twa matka mi też".

albo:

„Na grobie czerwony i biały kwiat
„Pokrzywa zasiadła tam także na czaty
„Tę pokrzywę sprządź do twych ślubnych szat
„W koszulę mi śmiertelną kwiaty?
„Gdy obie mi sprzędzież, wesele *se* zrób"
i t. d.

R.

ZIARNKA.

W ostatnich dniach czarodziejska wiosna obficie poczęła sypać z rogu obfitości swe uroki. Planty miejskie, i okoliczne pagórki zazieleniły się mocno — że człowiekowi mimowolnie raźniej się jakoś robi na sercu i weselne myśli idą do głowy. Drzewa milczą jeszcze — tylko topole pokryte mocno bażkami — a wierzby ubrane w drobniutkie listki — kasztany zrzucają już piewszą łuskę. Wszystko czeka na deszcz. Zeus w piątek wieczorem ponagromadzał chmury—i popisał się z pierwszemi grzmotami — poczem w nocy skropił lekko ziemię więc zdaje się, że i wielki rozwój w naturze prędko teraz pójdzie. Życie obudzające się w przyrodzie wpłynęło i na ludzi Muzyka wojskowa rozpoczęła już popisywać się na publicznych miejscach. Zawiązują się komitety celem urządzenia wycieczek i całe miasto poczyna się nie na żarty ruszać, — a mając na względzie to, że fantazja z wiosną największą prawie rolę odgrywa, należy się spodziewać — że i na polu literatury niejedna myśl nowa i świeża — jak te kwiaty wiosenne — przysporzy dzielu autora sławy.

* * *

W rocznicę 3. maja urządzono we Lwowie przeróżne nabożeństwa, wieczorki, odczyty i zgromadzenia — do ostatnich zaś Lwów ma szczególne szczęście. Nie może-

my roztrząsać, czy pod względem politycznym osiągają zamierzonego celu — idzie nam tylko, by na przyszłość nie zamieniały się w tak zwaną „hecę narodową“ by zamiast poważnego wrażenia niewywoływały na ustach uśmiechu. Pewne osobistości nieumiejące nawet poprawnie się po polsku wyrażać — występują na trybunę, by pleść prawdziwe androny — a słuchacze zadowolnieni z „hecy“ biją oklaski — i to wszystko ku uczczeniu narodowej uroczystości!

Gdzieindziej dziennikarstwo z całą surowością potępiłoby podobne wystąpienie — u nas inaczej — inaczej inaczej.

* * *

„Przegląd tygodniowy“ pisze:

Powiadają złośliwi, a może tylko prawdomówni, że kiedy raz do sławnego malarza bitew i koni, Adama, który w Monachium królował, zgłosił się pewien głośny polski artysta, aby pod jego okiem w sztuce rysowania koni się doskonalić, mistrz kilka razy zwrócił mu uwagę na niedokładność w kopiowaniu natury, a w końcu powiedział z uśmiechem: „wracaj pan do domu i maluj jak malowałeś dotąd. Masz pan dużo talentu i gustu i pewną manierę, której nie pozbędziesz się tak łatwo. Daj więc pokój usiłowaniom próżnym, zostań przy wadach, a staraj się wydoskonalić przymioty, zdobiące twój pędzel“. Orację tę warto-by z pewną zmianą powtórzyć p. Wojciechowi Kossakowi, który w ostatniej pracy swojej, wystawiającej ujeżdżalnię królewską, wprawdzie przy wadach dawniejszych został, ale o dodatnich stronach swego talentu zdaje się zapominać. Młody Kossak odznaczał się przedewszystkiem umiejętnym układem kompozycji, ciepłym kolorytem i szczęśliwem oświetleniem grup koni i ludzi złożonych z figurek drobnych, więc niewymagających zbyt ścisłych, anatomicznych studjów. W ujeżdżalni nie spotykamy tych stron dodatnich, ale za to oświetlenie jest zimne, szare, odpowiada ono nieźle brudnym ścianom manężu, ale wcale obrazu nie ożywia. Barwa odzieży amazonek i jeźdźców, ubo przystrojnych w szaty malownicze francuskie z zeszłego stulecia, wypłowiała, niepewna, a jaskrawe wyłogi odzianego w mundur gwardjaka, dowódcy karuzelu, traktowane są ostro i do harmonii się nie przyczyniają. Niedostatek światła nie pozwolił nawet artyście z końmi się popieścić i refleksami przerwać jednostajną barwę ich sierści, brak zaś wprawy w malowaniu wnętrza nie dał mu możności urozmaicenia dalszych planów sztafażem, rozmieszczonym na galerji, która z lewej tylko strony, i to bokiem, jest pokazana i dźwiga kilka osób równie nieszczęśliwych, jak znajdujące się na parterze, bo ani charakterystycznych w pozie i rysach, ani zajmujących malowniczością stroju. Trudno widać było p. Kossakowi mocować się z tematem nowym dla niego, i niebardzo wdzięcznym, tembardziej, że punkt widzenia, wziętym za wysoko, skazywał go z góry na niepowodzenia perspektywiczne, które się z tylu innemi niepowodzeniami zbiegły.

ZAPISKI.

Literatura.

* P. Aureli Urbański, tłumacz wielu operetek zabrał się do napisania oryginalnego libretta, do którego muzykę skomponował p. Maurycy Fall, kapelmistrz orkiestry wojskowej.

* Nicolas Bernardini pracuje nad dziełem statystycznem dziennikarstwa całego świata. Będzie to spis wszystkich czasopism, ich historji, imiona redaktorów, współpracowników, wydawców; wymieniony będzie format, cena prenumeracyjna, ilość stron, ryciny, waga każdego numeru, cena pojedynczych egzemplarzy. Zamieści biografje najsławniejszych dziennikarzy i wiele innych dat dotyczących historji dziennikarstwa. Wydawca uprasza wszystkich redaktorów o przysłanie po jednem egzemplarzu swych pism i udzielenie najpotrzebniejszych dat. Adres autora i wydawcy tej encyklopedji jest: Nicolas Bernardini. Lecco. Italia.

* W Bernie wyszły nowe nowelle Alfreda Hartmana. „Auf Schweizererde“ Tom pierwszy zawiera dwie barwowe nowele „Autochtonen und Turisten“ i „Orgetorix“.

* Wyszedł z druku zeszyt 1-szy na szeroką skale przez Redakcję: „Biesiady“ i przez księgarnię T. Paprockiego rozpoczętego wydawnictwa: „Złota przędza poetów i prozaików polskich“. Złota przędza będzie na wzór zagranicznych dzieł tego rodzaju obszerną antologją, obejmującą wybór najcelniejszych utworów pisarzy naszych wierszem i prozą i jako teka, stanowić ma w przykładach podany, biografícznemi wiadomościami uzupełniony całkowity kurs literatury polskiej od początków jej rozwoju, do najnowszych czasów. Każdy tom dzieła, których liczba nie da się z góry określić, obejmie 12 zeszytów po 5 arkuszy druku. Pierwszy zeszyt zawiera wybór poezji Brodzińskiego, krótką biografję tego autora, oraz bibljografję jego.

W tymże zeszycie rozpoczęto druk wyjątków z dzieł Mickiewicza poprzedzony również treściwą biografją. „Złotej przędzy“ życzymy jak najszczerzej, jak najszerszego rozpowszechnienia.

* W Wrocławiu ukazała się książka pod tytułem: Peter Skarga's Sonn-Festags- und Gelegenheits Predigten w przekładzie Świentka. Przedmowa zawiera szkic polskiej wymowy kaznodziejskiej, a czasopismo niemieckie pod tyt: Literarische Rundschau pomieszcza z powodu książki tej obszerne uwagi o złotoustym kaznodziei.

* Figaro paryskie rozpoczęło w fejletonie druk nowej powieści Emila Zoli pt.: Jacques Damour.

* Znana powieść Al. Daudeta „Les rois en exil“ ukaże się na scenie teatru Vaudeville przerobiona przez Coquelina starszego.

* W Siedlcach pocznie wkrótce wychodzić pismo tygodniowe.

Teatr i muzyka.

* Massenet, kompozytor opery Herodjada, przygotowuje nowe dzieło pt. Manon Lescaut. Utwór przeznaczony dla paryskiej opery komicznej.

* Hennequin i Velabrégue napisali tekst do nowej operetki, do której pisze muzykę Jan Strauss.

* Prof. konserwatorjum w Petersburgu Aleksander Famniszyn napisał muzykę do znanej tragedji Gutzkowa Uriela Acosty. Partyturę wręczono król. teatrowi w Dreźnie.

* „Times“ donosi, że „Columba“, nową operę Markienziego przyjęto z wielkiem entuzjazmem. W Londynie rozpocznie się sezon tegoroczny w operze Hamburskiej.

MISCELANEA.

Blondini i Albinosi — w rzędzie ludzi moralnie, typowo ukształconych, uważani już byli dawniej, jako twory patologiczne, nienormalne, dotknięte chorobą skóry, polegającą na braku barwnika w skórze, a mianowicie w nadskórnej warstwie, w uwłosieniu i w tęczówce oka. Mansfeld oznaczył tę „chorobę“ skóry i włosów, ogólnem mianem Leucopathia, rozróżniając zupełnie albinizm od niezupełnej leukopatji, która znów według niego, bywa albo ogólną (płowe włosy, jasne oczy, biała skóra), albo częściową tylko. Według badań dotychczasowych, zupełna i niezupełna leukopatja zdarza się pomiędzy ludźmi wszelkich ras, a albinizm nawet w krajach podzwrotnikowych i równikowych nierzadko bywa napotykany. Broca uważał albinizm za chorobę krwi, nabytą przez ludy osiedlone w bagnistych okolicach. Obecnie Poesche, znany etnolog podjął się kwestji w „Archiv f. Anthropologie“ a dowodzi na przykładach i faktach z historji, że białe rasy słabsze są od ciemniejszych. Na pociechę dla licznych blondynów zaznacza on jednak, że dzisiejsi ludzie o płowych włosach, nie są to typowi blondyni, lecz są już mieszańcami tej szczególnej rasy czy odmiany, z innemi ciemniejszemi — gdy prawdziwi blondyni dzisiaj są odmianą wymartą, jak się zdaje od dosyć dawna.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.